

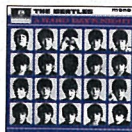
DRZWI DO INNEGO ŚWIATA

NA POČZĄTKU

THE BEATLES

A Hard Day's Night (1964)

Od najmłodszych lat towarzyszyły mi płyty winylowe, rodzice mieli gramofon Mister Hit i dużą kolekcję longplayów. Pierwsze płyty, z jakimi się zetknąłem, to były oczywiście te z repertuarem dla dzieci. Ale szybko, w wieku 7 czy 8 lat, trafiłem na *A Hard Day's Night* Beatlesów. I na długi czas stało się moją ulubioną płytą, słuchałem tego na okrągło. Tak zresztą było i potem: gdy mi się jakaś płyta spodobała, to przez kilka miesięcy ciągle jej słuchałem, stawała się częścią mojego życia. I teraz, gdy słucham tych piosenek The Beatles, wracam do początków mojej podstawówki, wizualizuję sobie swoją szkołę w pobliżu warszawskiej cytadeli. Dziś mogę podejrzewać, że zauroczyła mnie wtedy moc, melodyjność i zwięzłość piosenek z *A Hard Day's Night*. I dobrze pamiętam, że słuchając ich, czułem specyficzny dreszcz emocji, którego nie odczuwałem przy piosenkach dla dzieci. Już wtedy wiedziałem, że otwieram drzwi do jakiegoś innego świata... W podstawówce pozostawałem fanem tylko tej płyty Beatlesów, oczywiście znałem ich największe przeboje, ale całych płyt – nie. Dopiero w czasach licealnych zacząłem poznawać – i polubiłem – inne ich albumy, a tak od A do Z przestudiowałem ich dorobek, ten proces ich rozwoju, dopiero kilka lat temu.

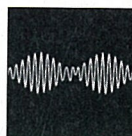


NA WIECZÓR

ARCTIC MONKEYS

AM (2013)

Gdy pierwszy raz usłyszałem płytę AM Arctic Monkeys, nie wiedziałem, co o niej myśleć. Byłem zdziwiony i zaskoczony kierunkiem ich rozwoju. Zespół Arctic Monkeys zaczął od bardzo surowej płyty, każda kolejna była trochę inna, a w końcu doszedł do takiego punktu, że może już zrobić wszystko... AM jest płytą niezwykle koncepcyjnie: połączenie riffów a la Black Sabbath z brzmieniami hip-hopowymi, z elementami soulu czy muzyki disco. Zarazem są to rewelacyjne piosenki, a wspomniane pomysły je czynią jeszcze bardziej wstrząsającymi... I to jest dla mnie idealna płyta na wieczór, na godziny nocne. Chętnie sięgam po nią po koncertach w hotelu albo podczas nocnego powrotu busem do domu. Wciąż i pozwala zapomnieć o koncertowych siniakach.



NA PREZENT

MUZYKA KOŃCA LATA

PKP Anielina (2011)

Często dawałem PKP *Anielina* w prezencie, żeby zachęcić innych do Muzyki Końca Lata... Mój ulubiony polski zespół, moja ulubiona płyta tego zespołu. Niestety, są dosyć mało znani, a zasługują na większą popularność. Oni też z płyty na płytę się rozwijają. Może to się teraz trochę zmienia, ale w Polsce przez lata była mania kopiowania gotowych rozwiązań, wzorów z repertuaru zespołów angielskich czy amerykańskich, a naprawdę oryginalne zjawiska, takie, które tylko u nas mogły się pojawić – były ignorowane przez decydentów. Takiego brzmienia, takiego przekazu jak Muzyka Końca Lata nie ma żaden inny zespół na świecie. Dla mnie Muzyka Końca Lata to w najlepszym tego słowa znaczeniu piosenka turystyczna, z elementami big beatu. Bardzo mi się również podoba to, że są tak naturalni i szczerzy w tym, co robią.



NA RANO

THE JAM

In The City (1977)

Jeśli chodzi o płytę, która zawsze by na mnie w godzinach porannych pobudzająco działała, wybieram *In The City* The Jam. Byłem w ósmej klasie, gdy pierwszy raz usłyszałem ten debiutancki album grupy Paula Wellera, zaskoczyło mnie, że brzmi niemal jak połączenie The Clash z... Czerwonymi Gitarami (śmiech). To moje intuicyjne skojarzenie okazało się o tyle słuszne, że – jak kiedyś opowiadał Weller w jednym z wywiadów – The Jam grał muzykę lat 60., ale pod wpływem The Clash zradikalizował swoje brzmienie i teksty. Płyta *In The City* jest niesamowita, jeśli chodzi o ładunek energetyczny. Wydaje mi się, że mogło to wynikać ze stężenia amfetaminy w organizmach tych młodych ludzi, ale



LESŁAW
KOMETY

NA ZAWSZE

THE CURE

Boys Don't Cry (1980)

Miałem dylemat, czy wybrać tu *Meat Is Murder* The Smiths czy *Boys Don't Cry* The Cure. Ta pierwsza na pewno bardziej ukształtowała mnie jako poetę. *Boys Don't Cry* to z kolei płyta, która wywarła największy wpływ na moją twórczość od strony muzycznej. *Boys Don't Cry* to amerykański wariant debiutanckiego longplaya The Cure, *Three Imaginary Boys*. Jeśli chodzi o repertuar *Boys Don't Cry*, to jego dobór jest dziełem jakiegoś anonimowego geniusza, pomijającym wszystkie słabe punkty wspomnianej brytyjskiej edycji, a uwzględniającym świetne single. Poznałem tę płytę The Cure pod koniec podstawówki. Pożyczył mi ją na kasecie ten sam kolega,

od którego miałem *In The City* The Jam... *Boys Don't Cry* chyba z pół roku słuchałem raz po raz. Wtedy dotarło do mnie, jak ważne jest śpiewanie szczerych, nieco ekshibicjonistycznych piosenek i jak ważne jest w nagraniu brzmienie. Producent Chris Parry potrafił w tak ciekawy, nieoczywisty sposób nagrać trio: gitara-bas-bębny. No i są jeszcze te niesamowite pogłosy... Na *Boys Don't Cry* ta fuzja prostej, świeżej muzyki, poezji zagubionego nastolatka i specyficznej produkcji dała w sumie arcydzieło. Wiele lat potem stwierdziłem, że są tam też nietypowe progresje akordów, niemal solowa rola gitary basowej, dziwny styl gry i takie też brzmienie perkusji. A od razu ważna była dla mnie intymna relacja, jaką głos wokalisty nawiązuje ze słuchaczem. Słuchając płyty *Boys Don't Cry* miałem wrażenie, że Robert Smith śpiewa stojąc przede mną! Parę miesięcy po poznaniu tego longplaya założyłem swój pierwszy zespół. I to też było trio. I na wszystkich płytach, które później zrobiłem, obowiązywała zasada, której nauczyłem się słuchając w młodości The Cure: nieważne są reguły, ważny jest oryginalny pomysł.

notował: WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

